

FRANCIS MARION CRAWFORD

F. MARION CRAWFORD

Mafia to sycylijski charakter
- sycylijski honor,
sycylijskie zasady.
To idea, a nie instytucja.

CORLEONE

HOID.PL

TRYLOGIA tom III
CORLEONE
OPOWIEŚĆ O SYCYLII
1898

MAFIA, SYCYLIA, RZYM, KONFLIKT, MIŁOŚĆ, ZAZDROŚĆ, POZYCJA,
ZEMSTA, MEZALIANI, KONIE, WINCHESTERY, WIDOKI, AMERYKAŃSKI SEN...
A WSZYSTKO TO ZANIM MARIO PUZO W OGÓLE PRZYSZEDŁ NA ŚWIAT!

Francis Marion Crawford
CORLEONE: Opowieść o Sycylii
Tom III

Tytuł oryginalny: Corleone: A Tale of Sicily
Autor: Francis Marion Crawford
Data oryginalnego wydania: 1898
Research i opracowanie tekstu: Wydawnictwo Horyzont Idei
Przekład i redakcja: Damian Tarkowski, Adrianna Krawczyk
© Polskie Wydawnictwa Niezależne, Damian Tarkowski,
Wydawnictwo Horyzont Idei, 2022
Wydanie pierwsze, Toruń 2022

ISBN: 978-83-65185-41-9
Dziękujemy za zakup oryginalnego e-booka!

Nasz adres internetowy:
www.hoid.pl; www.sklep.hoid.pl;
Facebook:
[www.facebook.pl/HORYZONTIDEI](https://www.facebook.com/HORYZONTIDEI)
E-mail: kontakt@hoid.pl; damtar@hoid.pl
Tel: (+48) 723 761 373

NIP: 9562251232
mBank: 34 1140 2004 0000 3702 7847 3507

Wesprzyj naszą działalność, zakupując książki, e-booki
i audiobooki Wydawnictwa Horyzont Idei dostępne na naszej
stronie internetowej: www.sklep.hoid.pl oraz u naszych
partnerów na platformach:

ibuk.pl; ebookpoint.pl; virtualo.pl; publio.pl; woblink.com;
legimi.pl; empikGO, audioteka.pl, storytel.pl, nieznany.pl, i in.

Współpracujemy także z autorami oryginalnych tekstów w języku polskim
oraz z innymi wydawnictwami w zakresie udostępniania licencji oraz praw
autorskich do nagrań audio lub wydawnictw drukowanych.

SPIS TREŚCI:

[ROZDZIAŁ XXVIII](#)

[ROZDZIAŁ XXIX](#)

[ROZDZIAŁ XXX](#)

[ROZDZIAŁ XXXI](#)

[ROZDZIAŁ XXXII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIV](#)

[ROZDZIAŁ XXXV](#)

[ROZDZIAŁ XXXVI](#)

[ROZDZIAŁ XXXVII](#)

[ROZDZIAŁ XXXVIII](#)

[ROZDZIAŁ XXXIX](#)

[ROZDZIAŁ XL](#)

ROZDZIAŁ XXVIII

Ippolito cofnął się o krok, gdy usłyszał dźwięk przekręcania klucza w zamku, bo drzwi otworzyły się do środka. Po chwili rozsunęły się szeroko, a on stanął twarzą w twarz z mnóstwem pełnych gniewu oczu. Był tam Tebaldo wskazujący na niego ze złośliwym uśmiechem na cienkich wargach i z powiekami opadającymi pod kątem, jak u sępa wyczuwającego śmierć. Był tam młody, rudowłosy porucznik piechoty, patrzący na niego ostrym wzrokiem, był też kapral, z trzema lub czterema piechurami–karabinierami w czapkach. To byli przedstawiciele prawa. Ale bezpośrednio na nich, wokół nich i obok nich napierał tłum rozzłoszczonych mężczyzn, a wraz z nimi kilka kobiet, trochę dzieci, nawet zupełnie małych. Był tam też kulawy chłopiec, który codziennie czekał żeby zawołać kościelnego, i sam gruby zakrystianin, z niepokojącym błyskiem w oku. Na drugim planie, tuż za drzwiami, gdy wszyscy już weszli, oparta o futrynę stała Concetta, jej chusta opadła z jej głowy, a jej wspaniałe oczy błyszczały obłędem.

– Brać go – powiedział Tebaldo, surowo. – Tam, przed ołtarzem, leży mój brat, a jego krew jest na rękach tego człowieka.

Wtedy z tłumu rozległ się niezgrany chór okrzyków i przekleństw.

– Zabrać księdza Saracinescę! Zakuć go w kajdanki! Zakuć go w łańcuchy! Niech będzie przeklęta jego dusza dusze jego zmarłych krewnych!

– Wczoraj próbował go zabić kamieniem!

– Zrobił to dzisiaj, zabójca!

– Spalmy go żywcem! Rozerwijmy go na strzępy! Śmierć rzymianinowi!

– Dajcie mi jego twarz w moje ręce! – krzyczała rozczochrana kobieta.

A dziecko, które stało w pobliżu, splunęło na niego.

Ippolito cofnął się przed nimi i stanął naprzeciwko, błądy i wpatrzony w nich ze zdumieniem i przerażeniem. W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć. Ta ohydna zdrada była zupełnie nie do pojęcia. A jednak wyciągnięta ręka Tebalda wskazywała na niego i to głos Tebalda kazał żołnierzom go pojmać. Ich twarze były nieprzeniknione. Jedyne młody piemoncki oficer, przyzwyczajony do innego świata na cywilizowanej północy, zdradzał w swoim wyrazie ten rodzaj ciekawości, jaki widzi się w spojrzeniach ludzi, którzy obserwują dzikie bestie w klatce.

– Lepiej opróżnijcie kościół – powiedział do karabinierów. – To zamieszanie jest niestosowne.

Nie był on ich oficerem, ale od razu zaczęli go słuchać. Tłum stawiał lekki opór, gdy rośli mężczyźni odpychali ludzi z wyciągniętymi rękami, tak jak się zbiera trzciny w siatkę, aby je związać przed odcięciem u nasady.

– Wypuszczą go, jak jego brata – warknął zawzięcie stary człowiek.

– Wyślą go do Rzymu, a potem puszczą wolno, bo jest rzymianinem – powiedział drobny, skrzywiony cieśla.

A mały chłopiec znów splunął na Ippolita, uchylił się przed ręką jednego z żołnierzy i wybiegł. Z protestującymi okrzykami, z wieloma przekleństwami i masą złowrogich gróźb, ludzie pozwolili się wypchnąć bez żadnej przemocy.

– Jestem kościelnym! – oświadczył grubas, sprzeciwiając się, ale pozwolili mu zostać.

– Jestem Concetta – powiedziała poważnie dziewczyna o ciemnej karnacji.

– Pozwólcie jej zostać – poradził kościelny. – Widziała, jak ksiądz go wczoraj pobił.

Ippolito nie odezwał się ani słowem. Złożył ręce i stał czekając, aż skończy się zamieszanie. Nie było w nim strachu, ale

na początku nie mógł sobie uświadomić, że naprawdę może być oskarżony o morderstwo i wierzył, że wkrótce zostanie uwolniony. Teraz jednak zrozumiał zdradę i jego czyste, niewinne oczy wpatrywały się w twarz Tebalda.

Kiedy kościół został opróżniony, a drzwi zamknięte, kapral podszedł do niego. Dwóch z jego ludzi podeszło, by zbadać ciało i poszukać broni.

– Jest pan oskarżony o zabicie tego człowieka – powiedział kapral spokojnie. – On jest martwy, a pan jest jedyną osobą, która była tutaj na miejscu. Na obu rękach widać krew. Co ma pan do powiedzenia?

– Nie zabiłem go – odparł Ippolito, po prostu. – Kiedy zobaczyłem, że leży przed ołtarzem, dotknąłem go, aby sprawdzić, czy nie jest martwy. W ten sposób pobrudziłem sobie ręce.

Dwaj mężczyźni wrócili od ołtarza. Ustalili, że Francesco zginął od ciosu nożem, ale nie znaleźli noża.

– Żałuję, ale muszę pana przeszukać – poinformował kapral cichym, zdecydowanym głosem.

– Nóż znajdziecie w mojej kieszeni – odpowiedział Ippolito, bardzo blady, bo widział, jak wszystkie dowody nieuchronnie wskazują przeciwko niemu.

Kapral spojrzał gwałtownie w górę, bo sam był zaskoczony. Ippolito opróżnił kieszenie, nie chcąc narażać się na upokorzenie rewizji. Od razu wyciągnął z nich nóż „bowie” i chusteczkę, która była mocno zabarwiona krwią i jeszcze nie wyschła. W kilku miejscach zaplamiała żółtą skórzaną pochewkę. Kapral wyciągnął broń, która była błyszcząca i nieskazitelna, włożył ją z powrotem do pochewki, a następnie chwycił chusteczkę za dwa rogi. Bardzo łatwo jest wytrzeć krew z wypalanej stali, pod warunkiem, że robi się to natychmiast, a kapral miał duże doświadczenie w takich sprawach. Doszedł do wniosku, że Ippolito mógł wyczyścić nóż chusteczką. Podał oba przedmioty jednemu ze swoich ludzi.

Powieki Tebalda drżały, a jego usta poruszały się lekko, gdy patrzył na to, co się dzieje. Wyglądało to tak, jakby jakaś nadprzyrodzona siła sprzysięgła się na jego korzyść przeciwko jego

wrogowi. Ale sam nic nie powiedział. Młody oficer otworzył szeroko swoje niebieskie oczy i w zamyśleniu podkręcił małe, rude wąsy.

Ippolito opróżnił drugą kieszeń swojej sutanny i wyjął mały tom brewiarza, zawierający oficjum na wiosnę, mały elastyczny marokański notesik, w którym było kilka banknotów, oraz scyzoryk z kości słoniowej.

– Wystarczy – powiedział kapral. – Takie rzeczy nas nie interesują. Pańskie nazwisko – dodał, wyciągając notes i ołówek.

– Ippolito Saracinesca.

– Czyj syn?

– Dona Giovanniego Saracinesci, księcia Sant’Ilario, z Rzymu.

– Wiek?

– Dwadzieścia siedem lat.

– Pański zawód?

– Ksiądz.

– Obecne miejsce zamieszkania?

– Rzym. Zatrzymałem się u brata w Camaldoli.

Kapral szybko zanotował odpowiedzi w zeszycie i włożył go do kieszeni, zapinając ponownie okrycie munduru. Potem przez chwilę milczał.

– Podał pan już swoją relację z tej sprawy – teraz zwracał się do Tebalda. – Nie ma potrzeby jej powtarzać. Ale ta dziewczyna – co ona ma do powiedzenia? – Zwrócił się do Concetty.

Z powagą, ale z błyszczącymi oczami, blada i piękna dziewczyna wystąpiła naprzód i stanęła przed Ippolitem.

– Wczoraj o zachodzie słońca byłem przy bramie cmentarza – powiedziała. – Brat tego człowieka, mieszkający w Camaldoli, zastrzelił brata tego oto dona Tebalda, z którym byłem zaręczona, a on jest pochowany na cmentarzu. Dlatego każdego dnia chodzę do bramy, aby go odwiedzić. Wczoraj przyszedł don Francesco i rozmawiał ze mną. Ten, który leży tam martwy, ledwie co wczoraj ze mną rozmawiał. Niech Bóg da jego duszy pokój i odpoczynek. Wtedy ten ksiądz, schodząc od strony Santa Vittoria, wpadł na niego zakradłszy się od tyłu, dusił

go za kołnierz, i bił po głowie, tak że upadł zemdłony. Ale tamtędy przyszli chłopci, podnieśli go i zabrali do naszej wsi, a ksiądz poszedł do Camaldoli. To widziałam i to wam mówię. Teraz dwóch Saracinesców zabiło dwóch Pagliuców.

Przestała mówić, a jej pobladłe ręce naciągnęły chustę na głowę, bo była w kościele, gdzie głowa kobiety powinna być nakryta.

– Czy przyznajesz się do tego, co mówi ta dziewczyna? – zapytał kapral, zwracając się do Ippolita.

– To prawda, że wczoraj po południu pobiłem Francesca Pagliucę.

– Czy przyznajesz również, że zabiłeś go dzisiaj, w tym kościele, tym nożem? Don Tebaldo zeznaje, że widział, jak to zrobiłeś.

Młody ksiądz podniósł się na całą swoją wysokość, a jego jasne spojrzenie przykuło się do półprzymkniętych oczu Tebalda. Przez kilka sekund dobre oczy Ippolita zmierzyły się ze złym spojrzeniem Tebalda.

– Czy zeznałeś, że widziałeś, jak zabiłem twojego brata? – zapytał w końcu Ippolito.

– Tak, i powtórzę moje zeznania w odpowiednim czasie – odpowiedział Tebaldo, spokojnie.

Ale pod poświęcą czystej i wzniosłej niewinności Ippolita, która milcząco zadawała kłam słowom Tebalda, powieki tego drugiego opadały coraz bardziej, aż spojrzał w dół.

– Czy przyznaje się pan, że go zabił? – zapytał ponownie kapral.

– Nie zabiłem go.

– W takim razie musisz koniecznie wiedzieć, kto to zrobił, jeśli nie ty – powiedział żołnierz. – Kościelny mówi, że jakiś czas temu wysłałeś po niego chłopca. Ten człowiek jest martwy od niedawna, jak stwierdzili moi ludzie. Musiałeś być w kościele, kiedy został zabity, i musiałeś widzieć człowieka, który to zrobił.

Ippolito nie widział dokonanego czynu, ale widział mordercę. Trudno byłoby odpowiedzieć w jednej kwestii, nie wspo-

minając o drugiej, a przez najmniejsze potknięcie mógłby niechcący powiedzieć coś, co mogłoby się skończyć zdradzeniem tajemnicy wyjawionej mu podczas spowiedzi. Dlatego milczał.

– Nic pan nie mówi? Upiera się pan, żeby nic nie mówić? – zapytał kapral.

– Nie mówię nic ponad to, co już powiedziałem. Nie zrobiłem tego.

– A pan – kontynuował żołnierz, zwracając się do Tebalda – zezna, że widział, jak ten człowiek to zrobił?

– Tak. Te przedmioty same przez siebie byłyby dowodem i bez tego – dodał Tebaldo, wskazując na nóż i zakrwawioną chusteczkę, którą jeden z żołnierzy trzymał za jeden róg, aby nie pobrudzić sobie palców. – Te przedmioty, i ręce tego człowieka – dodał. – Co więcej, jego brat zabił mojego drugiego brata, jak wszyscy wiedzą, a on sam przyznaje, że napadł Francesca ledwie wczoraj wieczorem. Nie może się pan wahać przed aresztowaniem go, kapralu. Fakt, że on jest rzymianinem, a my Sycylijczykami, nie jest wystarczającą obroną, jak sądzę?

Kapral rozumiał, że nie ma wyboru. Był bardzo rozsądnym człowiekiem i widział wiele podczas swojej służby na Sycylii, i kiedy tylko dochodziło do rozlewu krwi, był skłonny przypisać zbrodnię raczej Sycylijczykowi, niżeli Włochowi. Polubił twarz i niewinne oczy Ippolita i dałby wiele, aby czuć, że ma prawo pozostawić go na wolności. Ale musiał przyznać, że dowody przeciwko oskarżonemu były przytłaczająco silne. Na pierwszy rzut oka przypuszczenie, że młody ksiądz o wrażliwej osobowości, znakomicie wykształcony w wysoce cywilizowanym Rzymie, mógłby nagle, umyślnie i gwałtownie zadźgać na śmierć takiego człowieka, za jakiego karabinierzy uważali Francesca Pagliucę, rzeczywiście, wydawało się zupełnie absurdalne. Francesco był człowiekiem, przed którym władze zostały ostrzeżone, jako przed kimś, kto mógłby wyrządzić Saracinescom krzywdę, o ile tylko miałby możliwość. Był to człowiek, który dorastał w dzikiej części Sycylii, przesiąkniętyi bezprawnymi ideami mafii, człowiek, który, choć z urodzenia był szlachcicem, był uważany za „maffeuo”, a jego brat z pewno-

ścią utrzymywał przyjazne stosunki z banitami. Nie można było zaprzeczyć, że karabinierzy i żołnierze byli mocno uprzedzeni na korzyść Saracinesci i niekorzyść Corleona.

Jednocześnie dowody były przytłaczające, tym bardziej, że Ippolito uparcie milczał i w obronie własnej nie chciał powiedzieć nic poza ogólnym zaprzeczeniem do stawianych mu zarzutów. W swoich trudnościach kapral zwrócił się o radę do oficera liniowego, będącego zarówno jego wojskowym przełożonym, jak i człowiekiem o wyższym wykształceniu niż on sam. Potrzebował wsparcia. Poprosił porucznika, aby porozmawiał z nim przez chwilę na osobności, i razem udali się do jednej z bocznych kaplic.

Ippolito złożył ręce i chodził tam i z powrotem przed karabinierami, w głębokim i niepokojącym zakłopotaniu. Tebaldo oparł się o filar i przyglądał mu się z szatańską satysfakcją. Concetta podeszła i uklękła, twarzą zwróconą do ołtarza, przy filarze po przeciwnej stronie, a gruby kościelny stał nieruchomo w tle, obserwując wszystkich naraz.

Gdy kapral traktował o sprawie, porucznik od czasu do czasu potrząsał głową.

– Ze swej strony – powiedział w końcu oficer – założę się o mój honor żołnierza, że ksiądz go nie zabił. Ale będziecie musieli go aresztować, nie ze względu na nastroje we wsi, ale po prostu dlatego, że dowody wydają się być tak mocne. Jest tu coś, czego nie rozumiemy. Ale żołnierze nie są powołani do tego, żeby rozumieć. Naszym obowiązkiem jest zawsze działać najlepiej, jak potrafimy, na podstawie tego, co widzimy. Rozstrzygnięcie takich spraw należy do organów prawa. Radzę panu zabrać go do swojej kwatery i to jeszcze dziś wieczorem. Oczywiście jest, że nie będzie stawiał oporu.

Kapral był zadowolony z udzielonych wskazówek, choć bynajmniej nie cieszył się ze spoczywającego na nim obowiązku, i wrócił do Ippolita.

– To mój obowiązek, aby pana aresztować – powiedział tonem, który wyrażał pewien szacunek i dużą irytację tą sytu-

acją. Ippolito zatrzymał się w swoim marszu i odwrócił, gdy usłyszał za sobą kroki żołnierza.

– Zrobi pan to, co uważa za słuszne – odparł spokojnie. – Jestem gotowy.

Kaprał wydał rozkaz swoim ludziom i poprosił Ippolita, aby przeszedł między nimi. Potem sam otworzył drzwi kościoła.

Na zewnątrz zgromadził się tłum ludzi, było ich teraz co najmniej trzy razy więcej niż szło za Tebaldem i karabinierami. Wielu innych spieszyło od bramy i słychać było zmieszany dźwięk wszystkich głosów, rozmawiających w pełnych gniewu słowach. Ale gdy pojawił się Ippolito, na chwilę zapadła cisza. Potem, z głębi tłumy, rozległ się pojedynczy okrzyk, głośny, wysoki, szydrczy i pełen nienawiści.

– *Asasyn!*

Słowo to rozległo się, zostało natychmiast podjęte i powtórzone przez tłum mężczyzn i kobiet, z rodzajem wezbranej furii, która powodowała, że sylaby były cedzone tak, jakby każda z nich była przekleństwem.

Ippolito stawiał czoła ludziom dość spokojnie, idąc pomiędzy czterema karabinierami, którzy maszerowali po dwóch z każdej jego strony, a wieczorne światło oświetlało jego wyraźne rysy i niewinne, odważne oczy. Potrzebował zarówno odwagi, jak i niewinności, aby przejść przez tę próbę, bo wiedział, że gdyby nie garstka żołnierzy, tłum w swojej furii szybko by go rozerwał na strzępy. Po raz pierwszy żołnierze byli po ich stronie przeciwko znienawidzonym Włochom z kontynentu. Ludzie oklaskiwali ich, ich kaprała i oficera piechoty, gdy przechodzili obok.

Dzieci biegły przed siebie, wołając do ludzi, którzy jeszcze schodzili z wioski.

– Nadchodzi kapłan Saracinesca! – krzyczały. – Nadchodzi zabójca!

– *Asasyn! Asasyn!* – Ippolito usłyszał to słowo tysiąc razy w przeciągu pięciu minut. A niektórzy z ludzi odzywali się do żołnierzy i kaprała.

– Daj go nam, wujku karabinierze! – zawołał przygarbiony stolarz. – Co prawo ma z nim wspólnego? Dajcie go nam! Zaserwujemy go pół pieczonego i pół gotowanego!

Wszyscy, którzy to usłyszeli, śmiali się i szydzili z Ippolita.

– Zobaczcie, krew na jego rękach! – Krzyknęła wielka żona stolarza, nagle dostrzegając czerwone plamy. – Zobaczcie, oto krew Sycylii na rękach księdza!

Z całego tłumu podniósł się krzyk, bo sto osób usłyszało wysoki, skrzeczący głos kobiety, a reszta podchwyciła wołanie, tak że dzieci, które szły przed nimi, pobiegły z powrotem, aby zobaczyć, co się stało. Jedno z nich było dzieckiem tej kobiety. Złapała je w swoje silne ramiona i podniosła do góry, aby mogło zobaczyć, maszerującego księdza.

– Zobacz, taka dobra sycylijska krew! – zawołała do ucha chłopca.

– Przekleństwa na dusze jego zmarłych bliskich! – krzyknęło dziecko, na wpół oszalałe z podniecenia.

Wszyscy ludzie ruszyli razem, biegnąc i popychając się nawzajem, aby utrzymać księdza w zasięgu wzroku. A dzieci gwizdały i wydawały dzikie dźwięki i dziwne odgłosy, kobiety krzyczały, a mężczyźni przeklinali go ciężkimi słowami.

Z odsłoniętą głową szedł między żołnierzami, patrząc daleko przed siebie i nie widząc lub nie chcąc widzieć ludzi, ani rozumieć, co mówią. Miał tylko jedną myśl – nie złamać wiary swego zakonu kapłańskiego przez zdradę tajemnicy spowiedzi. Choćby wiedział, że śmierć czyha tuż przed nim, nie ugiąłby się.

Nagle coś uderzyło go w ramię, poruszył się, a jego wyraz twarzy uległ zmianie. Ktoś rzucił w niego zgniłą pomarańczą, dobrze wycelował, a gdy ta rozbiła się o jego ramię, część żółtego soku trysnęła na policzek. Na chwilę spokojne spojrzenie zniknęło z jego twarzy, wyraźne rysy ułożyły się surowo, a oczy błysnęły ludzkim gniewem z powodu poniżenia tą zniewagą. Tłum krzyczał z zachwytem i popychał żołnierzy na siebie nawzajem.

– Stać! – zawołał kapral karabinierów.

W jednej chwili w jego dłoni znalazł się wielki rewolwer wojskowy, a wszyscy jego ludzie, obserwując go, przygotowali także swoją broń.

– Działamy w imieniu prawa – powiedział donośnym głosem. – Jeśli coś jeszcze zostanie w nas rzucone, rozproszymy was i poniesiecie konsekwencje.

– Pomarańcza nie została rzucona w ciebie – zawołała żona stolarza.

– Ostrzegałem was – powiedział kapral. – Odsunąć się tam! wycofać się! z drogi! – I trzymał rewolwer w ręku, podczas gdy ludzie rozbiegli się na prawo i lewo, ostudzeni widokiem broni.

Potem przez jakiś czas było mniej hałasu, choć nikt nie udawał, że nad tym wszystkim panuje, ani że jest w stanie przeszkodzić ludziom mówić, co im się żywnie podoba. Wkrótce znów zaczęli sączyć jad, a syczące słowa wypełniły powietrze i przeszły uszy młodego kapłana.

Ale nic nie powiedział, a jego twarz znów była zimna i biała, gdy szedł dalej, nieustraszony i niewinny, trzymając w tajemnicy prawdę o tożsamości prawdziwego mordercy przez wzgląd na śluby kościelne, a głowę wysoko, pośród obelg i szyderstw tłumu.

Była to długa droga, gdyż musieli przemaszerować przez całe miasto, aby dotrzeć do kwater karabinierów, ulokowanych w starym klasztorze po drugiej stronie. Ippolito przeszedłby cały dzień drogi bez bólu, gdyby taka była konieczność, ale ucieszył się, gdy drewniane wrota dziedzińca głośno się za nim zamknęły, a on był wreszcie wolny od swoich wrogów. Obejrzał się, a Tebaldo, Concetta i kościelny, jak również cała reszta, z wyjątkiem karabinierów, zniknęła. Oficer liniowy poszedł do domu, aby napisać depezę do swojego pułkownika, a Ippolito został sam z karabinierami.

Tymczasem mały kulawy chłopiec, którego Ippolito zatrudnił i który odczuwał coś w rodzaju pół-wdzięcznego, pół-oczekującego przywiązania do uprzejmego księdza, uczynił rzecz odważną, biorąc pod uwagę jego ułomność. Widząc, co się dzieje w kościele i słysząc, co mówią wszyscy ludzie, wymknął

się po cichu i kulejąc, udał się do Camaldoli, aby ostrzec Orsina Saracinescę. Długo mu to zajęło, bo był bardzo kulawy, jedną nogę miał wykrzywioną od kolana, poza tym posiadał naturalną deformację biodra. W końcu dotarł jednak do bramy, a Orsino właśnie wrócił z przejażdżki i stał tam z karabinem zawieszonym za plecami, kiedy dostrzegł małego chłopca.

Orsino początkowo nie mógł zrozumieć, a gdy częściowo zrozumiał, nie mógł uwierzyć w tę historię. Relacja chłopca była jednak szczegółowa i nie mogła być zmyślona. Kiedy był już pewien, że jego brat został oskarżony o zabójstwo Francesca, twarz Orsina pociemniała, wezwał po swojego konia i szybko na niego wsiadł. Mały kulawy chłopiec spojrział na niego z tęsknotą, zaczynając kuleć, a Orsino pochylił się w siodle, podniósł go jedną ręką za ubranie i posadził przed sobą, choć był tylko małym brudnym chłopcem. Potem ruszył galopem w górę wzgórza. Ale chłopiec błagał, żeby go postawić na ziemi przy cmentarzu, bo wiedział, że matka go zabije, jeśli się dowie, że ostrzegł Orsina.

Tłum wciąż jeszcze zalegał ulice, gdy Orsino na swym wielkim koniu, z karabinem przy plecach i kaburami przy siodle, z twarzą surową i poważną, sunął brukową drogą jak błyskawica. Dobrze się stało, że akurat nie spotkał Tebalda Pagliuci. Czym innym było rzucenie pomarańczą w nieuzbrojonego księdza i wykrzykiwanie przekleństw w jego stronę, a czym innym stanięcie na drodze Orsina Saracinesci, który miał do dyspozycji prawie trzydzieści strzałów, dosiadał silnego konia i był w złym humorze. Ludzie odsuwali się na bok w milczeniu i spoglądali za zniechęconym rzymianinem, gdy galopował w kierunku kwater karabinierów.

Miał pukać, kopnął w bramę ciężkim butem, nie zsiadając z konia. Wartownik dyżurujący wewnątrz zapytał, kim jest, bo był rozkaz, aby brama była zamknięta z powodu tłumu.

– Saracinesca! – odpowiedział Orsino.

Brama się uchylila, a on wjechał, poprosił o przywołanie kaprała, zsiadł, rzucił uzdę żołnierzowi i wszedł do budynku. Na korytarzu napotkał kaprała.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Orsino. – Czy to prawda, że aresztowałeś mojego brata?

– Byłem do tego zmuszony – odpowiedział kapral, dość spokojnie. – Skonsultowałem się z porucznikiem i on również to doradził. Przykro mi, ale właśnie taki był mój obowiązek.

– Uwolnij go natychmiast – powiedział Orsino autorytarnym tonem głosu, nieznoszącym sprzeciwu.

Kapral potrząsnął głową.

– Nie mogę tego zrobić – odparł. – Może się pan z nim zobaczyć, ale on jest teraz więźniem.

– Sam najlepiej wiesz, na co się porywasz. Wiesz, co robisz. Natychmiast zatelegrafuję do Ministerstwa w Rzymie.

– Ministerstwo nie nakaże uwolnienia dona Ippolita – odpowiedział kapral z przekonaniem.

Orsino wpatrywał się w niego i zaśmiał dość szorstko.

– Oszalałeś – odpowiedział. – Stracisz za to swoje belki, o ile nie stanie się nic gorszego. Radzę, abys natychmiast wypuścił mojego brata.

– Donie Orsino – powiedział kapral z powagą – jestem starym żołnierzem. Zostałem specjalnie poinstruowany, aby chronić pana i pańskie interesy tutaj. Jednak, wykonując swój obowiązek, byłem absolutnie zmuszony aresztować pańskiego brata, wielbnego dona Ippolita, za zabicie dona Francesca Pagliuci, w kościele Santa Vittoria, dziś po południu. Dowody były takie, że ryzykowałbym degradację i karę, gdybym odmówił aresztowania go. Nie mnie rozstrzygać o jego ewentualnej winie, która mnie osobiście wydaje się niemożliwością. Mogłem jedynie postąpić tak, jak podoficer karabinierów jest zobowiązany postąpić, zgodnie z ustaleniami naszych ogólnych rozkazów. Mówię to panu osobiście, ale odpowiadam za ten czyn przed moimi przełożonymi, a oni nieczęsto przeoczą błędy. Jeśli pójdzie pan ze mną do mojego prywatnego pokoju, opowiem panu wszystkie szczegóły tej sprawy, pokażę nóż i zakrwawioną chusteczkę, które znaleźliśmy w kieszeni Dona Ippolita. Ja i moi ludzie zrobimy wszystko, co w naszej mocy, aby panu słu-